

Jacek Brzezina

Terminopile

Lipiec 1936 roku. Pierwsze dni odrodzenia narodowego Hiszpanii. Rozpoczyna się heroiczny bój z czerwonym najeźdźcą i jego płatnymi pachołkami, bój o narodową i katolicką Hiszpanię. Za broń chwytają dzieci i starcy, by stanąć na drodze bolszewickich siepaczy. Muszą zwyciężyć, wierząc w swoje posłannictwo, w dziejową rolę swego kraju. Muszą zwyciężyć, mając takich ludzi w swych szeregach, jak obrońców Alcazaru, jak kapłana Carlosa Miralleza Alwareza...

17 lipiec 1936 roku. Kapitan Mirallez dostaje rozkaz od generała Moli, by na czele swojej kompanii obsadził wązów Samo Sierry, by przeciąć drogę łączącą Kastylię z Madrytem.

— Rozkaz... — błyskają czarne oczy kapitana. — Ku chwale Hiszpanii!

Rozdziela kompanię na trzy części. Pierwsza ma pilnować tunelu, przez który idzie kolej Madryt — Burgos, druga obsadza dominujące nad wąwozem pozycje, trzecia wreszcie, pod osobistym dowództwem kapitana, staje na najważniejszej placówce za barykadą, osłaniającą mały mostek i przecinającą wijącą się dnem wąwozu drogę.

22 ludzi ma przy sobie kapitan Mirallez. Jest gotów z nimi stawić czoło całej armii madryckiej.

Upalne, lipcowe słońce z trudem dociera do wnętrza wąwozu Samo Sierry. Złoci tylko szczyty górskie, uśmiecha się z pogodnego nieba do kraju, który mimo tylu przeciwności, tylu męczyń syków posiada. Wśród starych lip szumi wiaterek. Przyjemny chłód panuje w wąwozie.

Mijają trzy dni. Obrońcy Samo Sierry tkwią niewzruszenie na swych stanowiskach. Czekają... Aż wreszcie, 20 lipca ukazuje się nieprzyjaciół. Dwa tysiące żołnierzy na 70 ciężarówkach zjeżdża w stronę wąwozu madrycką drogą, z wyżyn Kabrery.

Kapitan Mirallez daje znać na tyły o nadszycie wrogu, a sam z swoimi 22 ludźmi zajmuje stanowisko obronne za barykadą. Czerwoni, jeżeli będą chcieli przejść przez wązów, uczynią to będą mogli jedynie po trupach ludzi, którzy umiłowali wolność prawdziwą, nie dyktowaną w takt międzynarodówki.

Zapada noc. Kolumna nieprzyjacielska rozłożyła się na równinie. Nazajutrz dopiero będzie forsować Samo Sierrę.

Kapitan Mirallez wpatruje się w uwiecznione niebo. Miast o rychłej śmierci, myśli, czy zdoła powstrzymać nieprzyjaciela dopóty, dopóki nie nadszycie posiłki.

Mija noc cicha, bezwietrzna, spokojna, jedna z ostatnich spokojnych nocy na półwyspie Iberyjskim.

Ranek 21 lipca. Samochody wjeżdżają gęśno do wąwozu, do cierają do mostku i stają, jakby zdumione, przed zagradzającą im dalszą drogę barykadą i ludźmi, uzbrojonymi jedynie w karabiny i granaty.

Stają oko w oko ludzie, w których żyłach płynie bratnia krew. Jakże jednak różni się między sobą! Jedni — rozbestwieni niszczyciele wszystkiego, co święte, co narodowe, co hiszpańskie, placący krwią za czerwone srebrniki, którymi ich kupiono, drudzy — prawdziwi Hiszpanie, walczący za kraj i Kościół, składający daninę krwi na ołtarzu ojczyzny.

Za barykadą wylatują granaty, dosięgają pierwszych samochodów, niszczą je. Pada zabitych czternastu czerwonych, w tym jeden pułkownik i dwóch oficerów.

Kapitan Mirallez pokazuje swój lwi pazur. Stoi za barykadą i kieruje ogniem. Doniosłym głosem wydaje rozkazy nieistniejącym oddziałom. Nieprzyjaciół nie może domyślić się, iż tylko 22 ludzi broni Samo Sierry.

Rozpoczyna się ogień morderczy, bezlitosny

Szare stoki wąwozu spoglądają na garstkę broniących się bohaterów. Szare stoki i te lipy i ten mostek może, co pamiętają... lecz kapitan Mirallez też pamięta. Niedarmo jest wnukiem człowieka, który tutaj, w tym samym wąwozie walczył 127 lat temu przeciwko nie mniej zaborczej obcej inwazji, przeciwko potęgze Napoleona.

W tym samym wąwozie... Mirallez zapomina na chwilę o święszącym mu koło uszu kulach... wtedy szła garstka na tysiące, dziś garstka wstrzymuje tysiące. Wprawdzie wtedy, 127 lat temu tą garstką byli obcy, nawet nie Francuzi — Polacy, lecz Mirallez nie myśli teraz o tym, że byli oni wrogami. Myśli, że ludzie ci potrafili garstką zdobyć Samo Sierrę, krwią swą otworzyć drogę Napoleonowi — czy i jemu danem będzie teraz w tym samym miejscu, gdzie 127 lat temu stała ostatnia hiszpańska bateria, zamknąć drogę, czerwonym na-

jeź... n garstką ofiarnych bohaterów?

Mirallez uśmiecha się. Stają mu przed oczyma oglądane na obrazach granatowo — pasowe mundury szwoleżerów napoleońskich. Byli wrogami, szabłami swymi torowali drogę dla orłów znienawidzonego cesarza Francuzów, jednak walczyli dla idei, dla celu, jakim było oswobodzenie ich dalekiej ojczyzny, zrabowanej im przez tych samych ludzi co dziś krwawą płachtę rozwinęli nad sercem Hiszpanii, nad Madrytem. Przyszli ci szwoleżerowie do Hiszpanii, bo im tak kazano, bili się, bo byli żołnierzami, lecz pobitych szanowali, kościółów nie palili, rannych nie dobijali — szanowano więc i ich. Pamięta kapitan Mirallez, jak opowiadał mu jego ojciec, a jemu jego dziad, że gdy schwytychano go niewoli Francuzów bez miłosierdzia wieszano, Polacy byli traktowani z honorami, jak na prawdziwych żołnierzy przystało.

Polacy, jakżebyż pragnął kapitan Mirallez z nimi właśnie walczyć, a nie z tymi swoimi braćmi.

odszczepieńcami, pragnącymi sprzedać własny kraj.

Polacy — mogli unieśmiertelnić wązów Samo Sierry, mogli tutaj garstką odnieść triumf, dlaczegożby więc on, Mirallez, syn tej ziemi, na której i o którą walczy, nie miałby dokonać podobnego czynu?

Mijają godziny. Słońce powoli odbywa swoją wędrówkę ku zachodowi. Walka w wąwozie trwa.

Mirallez widzi, że koniec się zbliża. Nieprzyjaciół naciera coraz gwałtowniej, pomoc widocznie się spóźnia. Coraz gęściej wstają kule, coraz mniej nadziei. Kapitan już ochrypli niemal od wydawania fikcyjnych rozkazów, jednak tkwi na stanowisku. Już pięciu z pośród dwudziestu dwóch leży zabitych. Pierwszą swoją krwią ubarwili narodowe sztandary Hiszpanii. Polegną wszyscy, lecz z głęboką wiarą, że złożą swe życie na ołtarzu odradzającej się Ojczyzny.

Popołudnie 21 lipca. Kapitan Carlos Miralles Alwarez wydaje ostatni fikcyjny rozkaz. W tej chwili zdaje mu się, że dowodzi

całą armią, że oto z gór i stoków wąwozu spływają pod jego rozkazy tysiączne rzesze Hiszpanów, co krew swą przelali dla świętej sprawy, że oto gromadzą się w wąwozie Samo Sierry pod rozpiętymi miłosierdnymi i groźnymi zarazem ramionami krzyży, niesionych przez czarnych mnichów, by bronić Ojczyzny przed burzycielami, bezbożnikami, ptakami, co we własne gniazdo pluja.

— Zwyciężymy... Hiszpania jest z nami...

Kapitan Mirallez chwytą się za brzuch i pada w kurz ziemi, w którym przeszło sto lat temu złączyła się, wroga na placu boju, lecz bratnia w walce o oswobodzenie Ojczyzny, krew hiszpańskich guerillasów i polskich szwoleżerów gwardii... Padli za jedną sprawę i ci wtedy 127 lat temu i ci dzisiaj w piękny, lipcowy dzień — za swoją Ojczyznę gniebioną przez Moskwę.

Kapitan Mirallez umiera. Przez mgłę śmierci zakrywającą mu oczy tak pogodną, jak hiszpańskie niebo, widzi jeszcze wylaniające się z głębi wąwozu kolumny posiłkowe. Szczęście rozpiera mu duszę. Wytrwał. Garstką prawdziwych hiszpańskich synów zatrasował najeźdźców wązów hiszpańskiej sławy, Samo Sierrę.

...W marcu 1938 roku, narodowe wojska generała Franco dotarły do Katalonii i do morza Śródziemnego. Czerwony najeźdźca dyszy ostatkami sił. Wyszczepił swe zaborcze zęby na narodzie hiszpańskim. Hiszpania odżywa wolna, narodowa, katolicka. Przelata całe rzeki krwi swych wiernych synów, lecz nie zapominała o swym pierwszym obrońcy, o pierwszej daninie krwi, złożonej na jej ołtarzu.

Zgodnie z wojskową tradycją hiszpańską, generał Franco wydał odezwę do wszystkich oficerów narodowej armii, w której zapytuje, czy jest ktokolwiek, kto by sprzeciwił się nadaniu pamiątki kapitanowi Carlosowi Mirallezowi Alwarezowi najwyższego odznaczenia wojskowego za czyny bohaterskie, orderu „Laureada”?

Czy znajdzie się ktoś, kto by sprzeciwił się uwiecznieniu pamięci Hiszpana, równego termopilejskim bohaterom? Nie! Krwawe zmagania narodu przegnały wszystkich tych, co kalali własne gniazdo i wiarę. Przegнали precz, na tamtą stronę w szeregi odszczepieńców i sprzedawczyków. Ci, co zostali, krwią swą i potem wywalczającą zdrową Hiszpanię; zachowują na wieki w swych sercach pamięć pierwszego bohatera wojny, a w szarym terskiej tradycji guerillasów i napoleońskich szwoleżerów, urodnie nieśmiertelną tradycją kapłana Miralleza.

Jerzy Stokowski

Akademia Sztuk Pięknych

Pierwsze wrażenie, przy zwiedzaniu dorocznej wystawy prac studenckich w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (Wybr. Kościuszkowskie 37) — okropne. Taka troszkę niedociągnięta wystawa modernistyczna. W każdym razie, gdyby nie to, że jeden akt powtarza się kilka razy, nigdy byśmy nie odkryli, że jesteśmy w Akademii, gdzie młodzi adepci starych sztuk się uczą.

Oglądający wystawę ma bardzo duże obiekty, czy studenci A. S. P. czegośkolwiek w ogóle się uczą. Przecież na wystawie tegorocznej nie ma, ani śladu rysunku, co jest swojego rodzaju curiosum w uczelni malarskiej.

Prace wystawione są w znacznej części dowodem całkowitego pominięcia zagadnień rzemiosła artystycznego. I nie dziwnego, że na pokazach plastycznych spotykamy potem, po za kolosalną niezdarnością rysunkową przerażające zaniedbania techniczne. Czy artysta z tak ograniczoną wiedzą fachową może zdobyć się na poważne i trwałe dzieło, podczas gdy bledzi się nad rozwiązaniem każdej drobnostki? Czy panowie profesorowie i młodzi artyści sądzą, że na obraz można patrzeć z zadowoleniem estetycznym wtedy, gdy mocno raz nieudolność jego wykonania?

Notoryczne uprzedzenie ignorancji rysunkowej i technicznej utrudnia swobodę wypowiedzenia się malarzy i porozumienie z widzem. Bo mutatis mutandis nie wyobrażam sobie przykład, abyśmy zdołali zmusić się do zachwyty na koncercie fortepianowym, granym z ogromnym brakiem i temperamentem, ale z fatalną techniką palców, któraby nas do pałaj doprowadzała.

Powodowanie się na tradycję największych współczesnych malarzy pozwoli tylko stwierdzić, że ci właśnie artyści, którzy rewolucję kolorystyczną przeprowadzili, sami mieli rzetelne wykształcenie akademickie, gdzie w równym stopniu honorowano kolor, rysunek, kompozycję i treść.

Dlatego też pierwsza fala kolorystów była najmocniejsza. Wszystkie późniejsze były i są tylko jej odbłaskiem. Ale tak być musiało, bo następcy Renoirów i Cezanne'ów rozdymając karykaturalnie sprawę koloru, nie mieli poczucia tej równowagi, jaką tamci w wykształceniu nabyli.

Chciałoby się w salach Akademii widzieć przyszłość sztuki polskiej. Chciałoby się widzieć pracę jędrną, drgającą życiem i pełną możliwości. Tymczasem dorobek, jaki nam zaprezentowano, to najfatalniej zakorzeniona manie-

ra. Studenci malują jak zgryzbiali starcy. Ich kompozycje są stanowczo zbyt gadatliwe i pod każdym względem mało syntetyczne.

Ilościowo na wystawie przeważają prace malarskie, lecz za to najbardziej godne uwagi są właśnie wszystkie inne, a więc graficzne, ceramiczne, tkackie, sprzętarskie i literne.

Grafika, trzeba przyznać, zawsze miała w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych najmocniejszą obsadę profesorską. Katedrę zajmowali kolejno ś. p. Władysław Skoczylas, ś. p. Leon Wyczółkowski i obecnie prof. Stanisław Ostoja — Chrostowski.

Podobnie, jak w latach ubiegłych, grafika prezentuje się bez wątpienia najlepiej. Być może, że my, Polacy, mamy w tej dziedzinie wyjątkowe możliwości, ale mam wrażenie, że najbardziej ważny jest tu fakt osobistego poziomu i pracy profesorów, którzy potrafili być i wykładowcami i pozostać wielkimi artystami, czego o innych bynajmniej nie można powiedzieć.

Rzeźba nie wypadła interesująco. Studia są bardzo słabe, kompozycje bez widocznego polotu, poza kilkoma mniejszymi.

W ceramice na plan pierwszy wysuwa się dążność do wydobycia i opanowania koloru, przy

umiejętnym połączeniu go z formą. Jednak z formą jest na ogół gorzej, niż z barwą.

Dekoracje teatralne nie wykazują zupełnie nowych, ciekawych pomysłów. Są wyraźnie nudne.

Tkactwo A. S. P. ma już ustaloną dobrą opinię. Przy tym w stosunku do roku ubiegłego należy podkreślić znacznie większą kompozycyjną i kolorystyczną dojrzałość. Tkaniny są obok grafiki jednym z atutów uczelni.

Afisz, w dziale grafiki użytkowej bardzo szczęśliwie wybiegają poza stosowany u nas szablon reklamowy, przy utrzymaniu wysokiego poziomu artystycznego.

Rzeźba monumentalna, jest wcale nie tak monumentalna, jak by na to nazwa wskazywała, ma jednak w swoim dorobku kilka prac, które zasługują na uwagę.

Takie omówienie wyników corocznej pracy w Akademii Sztuk Pięknych może, w warunkach zupełnego talentu, krzywdzić profesorów, bo jest przeciw nim zwrócone. Ale zdolnych studentów jest bardzo wielu. Tylko nikt nie robi najmniejszego wysiłku, aby ich nauczyć. To jest ogromne przestępstwo w stosunku do tych, którzy bezideowym profesorom swój talent i chęci powierzyli.

W. Szary

Do Pani

Gospodyni Domu

w Polsce

Od dawna już chciałem do Pani napisać, nie mogłem się jednak jakoś zdobyć na odwagę. List do Pani jest ważniejszy od listów choćby do najwybitniejszych jednostek, z tego po prostu powodu, że niema u nas w Polsce jednostki, czującej i myślącej za miliony, sprawującej rządzą dusz nad milionami, a Pani na imię jest milion.

Przyjdzie Pani z pewnością na myśl znane powiedzenie „My rządymy światem, a nami kobiety”. Ale nie o to mi chodzi. Różnie z tym rządem bywa, ale jedno jest niezaprzeczonym faktem: Pani w obrzynie mieści i w ostatniej instancji rządzi gospodarstwem polskim. Przez Pani ręce przechodzi więcej pieniędzy, wydawanych na codzienne utrzymanie, niż przez ręce Państwa.

Nie będę poruszać oklepanego

wyroby Pani kupuje. Wiem co mi Pani odpowie: „Słyszałam to już, wyroby krajowe”...

Otóż nie to, proszę Pani. Wyroby krajowe dzielą się na różne kategorie. Najpierw są krajowe, ale nie polskie. Niech Pani stara się trochę to zbadać, które marki są polskie, a które nie. Może słyszała Pani o tym, że w tych krajowych nie polskich fabrykach zapanał ostatnio sympatyczny zwyczaj usuwania polskich robotników i polskich inżynierów, a Pani syn może właśnie będzie technikiem, majstrem, robotnikiem, inżynierem?

Są fabryki, którym nazwał półkrajowymi. Głośna zagraniczna marka na opakowaniu, napis „wyrób polski”. Czy Pani wie, że choć takie rzeczy zdarzają się i zagranicą, ale ostatnio u nas stają się one niemal regułą. Cały nasz przemysł zamienia się w jedną wielką filię, kierowaną z zagranicy. To znowu jest ograniczenie pola pracy dla Pani męża i syna, to znowu jest pewien rodzaj niewoli. Może te rzeczy w większym stopniu zależą właśnie od Pani męża, ale troszkę także od Pani.

Wreszcie są wyroby polskie naprawdę. Tych jest coraz mniej,

A te powinna Pani kupować jak najczęściej.

A teraz druga sprawa: Na co Pani wydaje pieniądze? Myślę, że w Pani małżeństwie istnieje pewien kompromis, ogólnie przyjęty, stanowiący u nas niemal regułę. Pani mąż nie spotka się z ostrymi wyrzutami, z tą tylokretnie przez felietonistów opisywaną miotłą, lub garunkiem, gdy wraca w stanie mniej lub więcej podchmielonym nad ranem do domu, o ile Pani rozporządza dostatecznymi funduszami na swoje wydatki, nie zawsze tej najszlachetniejszej kategorii. Pani wie: kapelusze, pończochy i t. d. Nie jestem bynajmniej Katonem, byłoby mi bardzo przykro, niech mi Pani wierzy, spotkać Panią na ulicy w stroju niedbałym, czy nawet niechlujnym. Ale chodzi o pewien umiar i tę genialną umiejętność ubrania się naprawdę do brzo, a równocześnie tania, jaką Pani czasem okazuje, a jaką okazują zawsze np. Francuzki.

Niech mi Pani wierzy, że kompromis, o którym mówię bywa czasem źródłem potwornej zgnilizny. Czy zawsze wie Pani, skąd mąż ma pieniądze na jedno i drugie? Czy chciałaby Pani widzieć go w roli bohatera jednego z tych

głównych procesów à la Michalski? Będzie on z pewnością źródłem strasznego upadku, który może dotknąć już Panią samą, a może Jej dzieci. Pani mąż niszczy sobie siły, i nie może naprawdę dobrze pracować. Niech mi Pani wierzy, że wódka nie dodaje ani siły, ani rozumu. Ale chodzi mi o coś innego.

Jeżeli Państwo nie zabezpieczą bytu swoim dzieciom, w ten czy inny sposób, to nigdy Pani nie może przewidzieć na jakie trudności dzieci te napotkają, czy kiedyś nie będą ginąć z nędzy. A o zwycięście, bo to jedno z drugim się łączy, cały kraj będzie taki biedny jak dziś, a co zatem idzie i tak mało moralistyczny jak dziś.

Te Pani obowiązki o których pisałem — niech mi Pani wierzy — są o wiele ważniejsze od pracy społecznej. Nie chcę nic ujmować pracy społecznej naprawdę twórczej, bo jest i taka. Ale są także organizacje, o charakterze że tak powiem półoficjalnym, w których zewnętrzna treść życia jest polityka, a wewnętrzna różna ambicja i ambicyjki. Jakiś piosarz francuski powiedział, że kobiety ubierają się przeciw innym kobietom. Gdybym chciał być bardzo złośliwym, powiedziałbym że Pani chce być prezeską w ja-

kimś kole, lidze czy związku, przeciw innym kobietom, a nie poto, by coś robić.

Pewien mój znajomy, straszny cynik, powiedział, że niektóre kobiety zajmują się pracą społeczną po to, by zwrócić na siebie uwagę mężczyzn wobec małych szans, braku osiągnięcia tego samego celu w inny sposób.

Ale to już uważam stanowczo za przesadę. Mam to głębokie przekonanie, że kobiety polskie stoją ponad takimi pobudkami i ponad bezdennie głupim zwyczajem przypisywania wszystkim ich uczuć, działań i pragnień motywow erotycznym. Pani powinna być tego samego zdania i „odnośną” literaturę wyrzucić do pieca.

Pani szczerzy przyjaciel, w najlepszym tego słowa znaczeniu

W. Szary

P. S. Byłbym zapomniał o ważnej sprawie. Pani się myli co do swego syna. Nie jest genialny. Jest zdolny i coś może z niego być, ale tylko jeżeli będzie nad sobą pracował i jeżeli od wczesnego dzieciństwa będzie twarde wychowywany. Za dużo jest u nas młodzieńców, których matki uważały za geniuszów. Skutki opłakane.